WSZYSTKIE DŹWIĘKI JULII

Siedział na ławce przed drewnianą altaną i obserwował listopadowy deszcz; wyciągnął z kieszeni kurtki papierosa i odpalił od trzeciej zapałki. Z rachitycznej jabłonki za budą zimny wiatr zrywał ostatni liść. Robiło się zimno, coraz zimniej. Naciągnął mocno na uszy czapkę i puścił z ust kształtne kółko. Krople rozbijały się o szybę, rozdzielały i łączyły w wodne stróżki, według sobie tylko znanych zasad. Spadały nowe, dzieliły się na mniejsze, te jeszcze na mniejsze, i tak dalej; te ostatnie nie dzieliły się już na nic, ale nie mógł ich dostrzec, bo zaraz zalewały je stróżki z nowych kropel. A potem cały proces zaczynał się od początku, a on siedział i przyglądał się.

Wszedł do altany, zostawiając pustą ławkę, która zdała się odetchnąć z ulgą. Zamknął za sobą drzwi. Nakręcany zegar zatrzymał się na godzinie wpół do piątej, ale musiało być później. Ogarnął wzrokiem pusty pokoik; piec w kącie, stolik przy oknie i posłaną wersalkę naprzeciwko drzwi. Wrzucił do pieca kawałek dębowego krzesła, który został jeszcze z późnego lata i porąbane w drobne kawałki leżało teraz na podłodze koło drzwi. Ogień zaczął trzaskać wesoło, przeskakując z drzazgi na drzazgę jak po linie, brzmiał ładnie i spokojnie. Znów spojrzał na zegarek.

„Gdy przyjdzie, nakręci go i ustawi. Nie wiem, która jest godzina" - pomyślał i zaczął stukać palcami po blacie wyłożonym kolorową ceratą. W piątki zawsze przychodziła koło wpół do szóstej, zwyczajnie, pukała do drzwi i wchodziła, wyciągała skrzypce i grała. Jego uczennica, Julia. Znaczy, zawsze przedtem mówiła jeszcze do niego, witali się, a on jej odpowiadał albo nie.

Był skrzypkiem i mówili na niego Trod, bo tak się wszystkim przedstawiał, ale nie było to jego prawdziwe imię. Prawdziwego sam nie pamiętał, a nawet jeśli pamiętał to udawał, że nie pamięta. Grał na dworcu, ulicy, wszędzie tam, gdzie za swoje dźwięki mógłby dostać jakieś pieniądze. I był stary. Właśnie obchodził swoje siedemdziesiąte siódme urodziny. Twarz miał całą pomarszczoną, nawet oczy wydawały się być zmarszczone i pozbawione wyrazu. Z podwieszonej nad stolikiem szafki wyciągnął dwa kubki i puszkę z kawą, prawie pełną, nasypał do każdego po dwie łyżeczki mielonych ziaren i postawił wodę na żeliwną płytę pieca.

Usłyszał pukanie do drzwi, wstał i przekręcił zamek. Stała w progu, uśmiechając się od ucha do ucha. Była niewysoką, ładną brunetką o przyjemnym kształcie twarzy i ufnych, roześmianych do wszystkiego wkoło oczach.

- Jak się masz, staruszku? - powitała go wysokim, ale łagodnym głosem. - Jak ci dziś poszło, co? Zarobiłeś trochę grosza?

- Trochę. Dobry wieczór, *madame* - odparł i spojrzał na nią. - Kawy?

- Poproszę. Z cukrem i mlekiem. - uśmiechnęła się figlarnie, prezentując szereg równych, białych zębów. Nie miał ani cukru, ani mleka i doskonale o tym wiedziała, jednak zawsze o nie prosiła, a jej oczy śmiały się przy tym jeszcze bardziej niż zwykle.

Nic nie odpowiedział. Wyglądała na zmarzniętą.

Altana, w której mieszkał, mieściła się na terenie ogródków działkowych i kiedyś należała do jego przyjaciela. Dojść do niej można było tylko jedną drogą; skręcając z dworca należało przejść pod mostem kolejowym, potem wzdłuż Odry szło się po wydeptanej ścieżce, trzeba było minąć szkołę i iść cały czas prosto. Na piechotę było to jakieś dwadzieścia minut drogi.

- Co dziś zagrasz? - spytał, zalewając kawę wrzątkiem.

- Coś specjalnego. Dla ciebie, na twoje urodziny - ucieszyła się, widząc zaskoczenie na twarzy starca - Myślałeś, że nie będę pamiętała? Przyznaj się, staruszku, na pewno tak myślałeś. Nie codziennie obchodzi się siedemdziesiąte siódme urodziny. Mam dla ciebie prezent - wyciągnęła z kieszeni kurtki mały pakunek, zawinięty w biały papier i zaklejony przeźroczystą taśmą.

Wyciągnął dłoń po podarunek. Był ciężki i ręka zadrżała mu nieznacznie, nie spodziewając się takiego ciężaru. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz dostał od kogoś prezent.

- Dziękuję - powiedział cichym, niskim głosem.

- Rozpakuj później. To niespodzianka.

- Dobrze.

- Mógłbyś się częściej uśmiechać.

- Uśmiecham się wystarczająco często, moja mała. - odparł i uśmiechnął się dla potwierdzenia. - Zagraj.

Wyciągnęła z futerału skrzypce i nastroiła je. Stanęła na środku pokoiku jak na scenie, odrzuciła głowę do tyłu porządkując tym samym długie, czarne włosy. Lewą dłoń położyła

na gryfie, prawy łokieć uniosła delikatnie w górę, przygotowując się do gry. Trod usiadł na krześle i zamknął oczy. Wzięli głęboki oddech i zaczęła. Z instrumentu zaczął wylewać się dźwięk, razkreślne *a*, spływał łagodnie po jej ciele, przez ramiona po tułowiu, biodrach i wreszcie plusnął na podłogę, płynąc koło stóp Troda. Spuścił ręce do ziemi, starając się poczuć go opuszkami palców, wymacać jego kształt i konsystencję. Prawie go widział, składał się z milionów innych i był pełny. *Vibrato* przeszywało całe ciało, można było w nim tonąć jak w ciepłej morskiej wodzie, dopóki *stacatto* nie budziło z upojenia ostrym dźwiękiem, po to tylko, żeby zaraz znów otulić delikatną barwą pocieranych smyczkiem strun. Dźwięki płynęły i wypełniały cały pokoik, a Trod zamknął oczy i chciał chłonąć je wszystkimi zmysłami, czuć ich zapach i kształt; może była to zwykła zachłanność. Melodia była prosta, ale żadnego tonu w niej nie brakowało, nic więcej nie było teraz potrzebne, nic prócz tego jednego dźwięku, półnuty, która mogła by trwać godzinami; wszystko się zatrzymało, Julia stała się cała dźwiękiem i brzmiała nim, rozciągając go w nieskończoność, jakby trudno było im się rozstać.

Skończyła i stała tak chwilę w oczekiwaniu na dogodny moment, żeby uwolnić ten ostatni ton, który wprawdzie już wybrzmiał dla uszu, ale w tym pokoiku, miejscu gdzie mieszkał stary bezdomny dziwak Trod, jeszcze żył. Teraz się nie uśmiechała i nie mówiła nic, otworzyła oczy jakby budząc się z głębokiego snu. A potem nagle melodia skończyła się, zniknęła, opuściła ją. Promienisty uśmiech wrócił na twarz dziewczyny i chwilę siedzieli w milczeniu.

- Tak zagram na egzaminie - przerwała doskonałą ciszę - takim dźwiękiem. Nie wiem jeszcze co będę grała, ale na pewno tak.

Chciała bardzo dostać się na akademię i z muzyką wiązała swoją przyszłość. Trod przygotowywał ją do egzaminów wstępnych, grali też razem na ulicy.

- Wiesz, moja matka mówi, że nie powinnam z tobą grać. - powiedziała.

- Dlaczego? - udał zdziwienie, choć wcale zdziwiony nie był.

- Bo jesteś starym, bezdomnym dziwakiem i skończę jak ty, grając do końca życia na ulicy dla przygłuchych przechodniów.

- Dlaczego nie powiesz jej, jak jest?

- Mówiłam. Mówiłam,że to ty nauczyłeś mnie wszystkiego, ale ona nie chce wierzyć, mówi że z takiego żebractwa nie można żyć. Ale przecież nie żebrzemy, tylko dajemy ludziom trochę radości. Po za tym uważa, że nie powinnam się już u ciebie uczyć, tylko u

profesora Rokickiego, że on mnie lepiej przygotuje. Ale wiesz co? To nieprawda, ty mnie przygotujesz najlepiej.

- Może jednak pójdziesz do profesora? Wiesz, że zawsze możesz do mnie wrócić, jeśli zechcesz.

-Wiem - odparła - ale wolałabym grać z tobą.

- Ja też bym wolał, moja mała. Ale ja jestem już stary, sama widzisz, że świętujemy dzisiaj moje siedemdziesiąte siódme urodziny. Ja cię już więcej nie nauczę.

- Jesteś najlepszy, staruszku. Ja tak myślę.

Ale zasmuciła się. Trod też się zasmucił, ale zaraz uśmiechnął się nieśmiało, żeby nie dać po sobie poznać zmartwienia. Od prawie roku odwiedzała go tylko ona i była mu jak córka. Nauczył ją wszystkiego, co umiał, a teraz przyszła pora, żeby Julią zajął się profesor Rokicki. Trod był wirtuozem brzmienia, mistrzem dźwięków, które było tylko jego i w których zawierało się o wiele więcej, niż tylko częstotliwości; sam nie wiedział, dlaczego, nikt nie wiedział, podobnie jak nikt nie wiedział, jak naprawdę mia na imię.

- Jak ty masz właściwie na imię, staruszku? - zapytała, wróciwszy do dawnego tonu.

- Trod, przecież ci mówiłem. - odparł.

- Nie ma takiego imienia, mnie nie nabierzesz! - roześmiała się - pewnie sam nie pamiętasz, co? Przyznaj się, staruszku, nie pamiętasz! A gdzie mieszkałeś wcześniej? Bo chyba nie mieszkasz tu od zawsze, co? Straszny z ciebie dziwak, staruszku.

Tylko ona tak do niego mówiła, „staruszku“. Przyzwyczaił się już, podobnie jak przyzwyczaił się do nieustannego jej mówienia i zadawania setek pytań. A ona przyzwyczaiła się już, że na większość nie odpowiadał.

- A dlaczego nie masz domu?

- Mam. Właśnie w nim jesteśmy - odparł, zadając sobie w myślach to samo pytanie.

- Ale takiego normalnego, jak wszyscy. Albo mieszkania chociaż. Mógłbyś mieć mieszkanie na osiedlu, tam byłoby ci cieplej w zimie.

- Nie jest mi zimno. Przyzwyczaiłem się.

- A czy ty kogoś jeszcze uczysz, oprócz mnie?

- Nie. Kiedyś uczyłem, ale dawno - przypomniał sobie swojego pierwszego ucznia, profesora Rokickiego, ale nie powiedział więcej.

- A czy to był dobry uczeń?

- Nie tak dobry jak ty - odparł. - Ale też zdolny.

- Mógłbyś jeszcze kogoś uczyć.

- Za stary już jestem, moja mała. Ty mi wystarczasz.

- Ach, jeszcze dałbyś radę. I nie musiałbyś grać dla przechodniów, jakbyś miał więcej uczniów. Czemu nie masz normalnej pracy?

- Sam nie wiem. Może kiedyś myślałem, że będę sławnym muzykiem, będę sobie mieszkał, gdzie będę chciał i będą pisać o mnie książki.

- Nie martw się. Może jeszcze ktoś napisze. - odparła.

- Musiałby nie być przy zdrowych zmysłach, *madame*.

- I takich nie brakuje - powiedziała i roześmiali się oboje.

- Mogę dziś zostać? - spytała, gdy już przestali.

- Pewnie, jeśli nie zmarzniesz. W wersalce, jest koc, pościel sobie, a ja wyjdę na papierosa.

- Tylko się nie przezięb - powiedziała z troską.

Czasem zostawała na noc. Jej matka myślała pewnie, że nocuje u którejś ze swoich koleżanek, albo u dopiero co poznanego na dyskotece faceta z dużą ilością gotówki i to wcale by jej nie przeszkadzało; gorzej by było, gdyby dowiedziała się, że śpi u tego starego dziwaka, który uczy grać ją na skrzypcach. Może zresztą wcale nie istniał, tylko Julia go sobie wymyśliła i była teraz zupełnie gdzie indziej.

Kiedy zostawała, dorzucał do pieca więcej niż zwykle. Nie mogła marznąć i nie mogła wiedzieć, że kiedy zostaje sam, jest tu bardzo zimno.

„Jestem jej mistrzem, a mistrz nie może marznąć“ - myślał, dokładając do pieca jeden z trzech pozostałych kawałków krzesła - „Mistrz ma zawsze to, czego chce i potrzebuje. Zawiodła by się, gdyby się dowiedziała, że tu prawie zamarzam każdej nocy“

Na dworze robiło się coraz zimniej i wiał wiatr. Stanął pod dachem i zapalił. Krople deszczu łączyły się w swoje strużki tak jak wcześniej i rozbrzmiewały cichym pluśnięciem, uderzając o blaszaną miskę. Tlący się tytoń wydawał suchy i ostry dźwięk przy każdym zaciągnięciu. Pożółkłymi palcami strzepywał popiół do miski i wsłuchiwał się w syk gaszonego żaru. Wiatr był chłodny i wiał coraz mocniej. Przeciskał się do wnętrza altanki,

szukając miejsca pomiędzy szybą a framugą i gwizdał całkiem nisko i chłodno, zmieniając dynamikę od *piano* do *forte* i z powrotem; przygaszał płomień palących się na stoliku świec i milkł na chwilę, żeby zaraz zerwać się z powrotem do gry.

Na nocnej szafce koło wersalki paliła się naftowa lampka, druga stała koło miski, która służyła Trodowi za umywalkę. W izdebce panował cichy półmrok, przerywany od czasu do czasu migotaniem płomieni z pieca i świec. Wersalka przykryta była drelichową narzutą, spływającą aż do podłogi włożonej szarym gumolitem. Julia siedziała na niej, nucąc pod nosem jakąś jesienną melodię, zasłyszaną przed chwilą od gwiżdżącego wiatru i czekała, aż wróci do środka.

Wszedł i ściągnął kurtkę. Odwiesił ją na wieszak, zamontowany na drzwiach i usiadł na krześle. Patrzyli na siebie w milczeniu.

- Położę się już, staruszku. - powiedziała, pocierając pięściami oczy. - Dobrej nocy.

- Dobranoc - odpowiedział bardzo cicho i zdmuchnął świece. Później przykręcił naftową lampkę i w pokoiku zapanowała prawie całkowita ciemność. Spoglądał na rozbijające się po szybie krople deszczu. Ściągnął buty i postawił koło piecyka, wyprostował stare nogi, grzejąc je od ciepła pieca. Ale nie miał zamiaru spać.

„Poczuć zapach każdego dźwięku, jego smak i kształt. Każdy smakuje i pachnie inaczej, jest jak listopadowa nic, ta dzisiejsza, albo wiosenna, jaka będzie za pół roku. Przecież nie może być na świecie dwóch takich samych, tak jak nie może być dwóch takich samych płatków śniegu.“ - myślał, patrząc w ogień. - „Każdy atom węgla i wodoru, i cholera wie, czego jeszcze, jest brzmieniem. Skąd ona ma w sobie ten dar? Czym jest jej brzmienie?“

Pocierał dłonią o nieogoloną twarz, słuchając jak odgłos tarcia po starej twarzy miesza się z pluskiem deszczu i cichym oddechem dziewczyny.

„Kiedyś to było moje brzmienie. Ale ja jestem już stary i za długo nie wystoję ze skrzypcami. Bolą mnie plecy. Bolą jak cholera. Mieszkam tu już trzynaście lat, w tej obskurnej budzie i nikt o nich oprócz mnie nie wie nic, a i ja sam już powoli zapominam. Tylko Julia tu przychodzi, ta dziewczyna. Ile ona ma lat? Osiemnaście, może dwadzieścia, może więcej. Nie, więcej nie. Może wcale się tak nie nazywa, ja przecież też nie nazywam się Trod. Może tylko rozpaczliwie udaje sama siebie, bo nie ma nikogo, kogo mogłaby udawać.“

Dwie duże krople w górnej części szyby zaczęły spływać jednym korytem w dół, zbierając po drodze inne, mniejsze i większe, a potem rozlewały się na framudze, żeby zaraz znów stać się kroplami i kapać na parapet.

„Ale tylko z nią rozmawiałem przez ten czas, kiedy podeszła do mnie na ulicy i powiedziała *naucz mnie grać, staruszku, masz taki ładny dźwięk*. A potem strasznie dużo mówiła, i przychodziła tu coraz częściej. Ona mówi za dużo, ludzie za dużo mówią, zupełnie jakby było trzeba; jakby nie było innego wyjścia. Rozpaczliwie dużo słów. I ona chyba cały czas czuje, bez przerwy, jakby tym czuciem chciała pojąć świat, zrozumieć go. A przecież jej czucie nic nie zmienia, nic na zewnątrz, tylko ją. Ja tyle nie czuję i nie pytam, a ona pyta, pyta bez przerwy, pyta o wszystko.

Graliśmy razem, więc rozmawialiśmy. Prawie rok. To była dobra rozmowa. Otępiały już jestem i za dużo myślę; zawsze za dużo myślałem, a przynajmniej od czasu kiedy tu zamieszkałem, w moje sześćdziesiąte czwarte urodziny. I sam prawie o nich zapomniałem, ale ona pamiętała, musiałem jej kiedyś nieopatrznie powiedzieć i zapamiętała. Ciekawe, co jeszcze. Kiedy jest się starym, wszystko wygląda inaczej. Świat zmienia się i przyspiesza, wszystko dookoła zaczyna się spieszyć, człowiek zostaje w miejscu, a czas biegnie coraz wolniej i wolniej, aż w końcu pewnie całkiem się zatrzymuje, bo i po co miałby biec dalej. Pewnie wtedy się umiera, ale ja jeszcze nie umieram, chyba nie. Sam nie wiem. Mógłbym jeszcze wyjechać, mógłbym dla niej, chociaż obiecałem sobie, że tu zostanę i nie wyjadę nigdzie. Ale obietnice dane samemu sobie można przecież łamać, przecież nie traci się w niczyich oczach, prócz swoich.“

Poczuł zapach deszczu, który wiatr wniósł przez szparę w oknie do izdebki.

Takie decyzje, jaką podjął wtedy, podejmuje się zawsze nagle. Wstaje się i wychodzi, zawsze w pośpiechu, ucieka wraz ze swoją samotnością w jeszcze większą samotność. Tak się to zwykle dzieje i tak też stało się tym razem.

Wiatr ustał i w altance zapanowała zupełna cisza. A może to tylko on nie słyszał nic, może nie chciał, a może czekał na tę ciszę. Wstał z fotela i ściągnął z szafki plecak; podkręcił trochę płomień lampy, choć oczy miał przyzwyczajone do ciemności. Rozsupłał sznurek i zaczął pakować do wnętrza plecaka to, co było mu potrzebne: puszkę kawy, cały bochenek chleba, bieliznę i skarpety, kubek i menażkę. Przykrył je grubym swetrem z owczej wełny,

który kładł sobie pod głowę do snu, owijając go najpierw we flanelową koszulę. Zawiązał plecak i położył koło futerału ze skrzypcami. Dorzucił do pieca dwa ostatnie kawałki drewna. „Za kilka godzin piec zgaśnie i wtedy się obudzi i zobaczy, że mnie nie ma“ - myślał, patrząc na śpiącą Julię - „Zostawię jej kartkę, żeby się nie martwiła“.

Na stoliku położył kawałek białego papieru, na którym ołówkiem napisał: *Nie martw się o mnie, wszystko w porządku. Powodzenia na egzaminach, madame. Twój staruszek Trod.* Poczuł, że płacze; kropla spadła na wierzch dłoni. Sięgnął po pakunek ze swoim urodzinowym prezentem i schował do kieszeni.

Stanął tak i patrzył na pokoik i na przeskakujący po kawałkach drewna płomień. Żal było mu odchodzić. Zgasił lampkę i odwrócił się do drzwi, wyszedł przez nie w noc i zamknął za sobą. Pierwszy krok zawsze jest najtrudniejszy, następne przychodzą łatwiej; z każdym krokiem nogi ważą coraz mniej i mniej. Wciągnął nosem chłodne powietrze i ruszył.

Szedł pomiędzy drzewami i wsłuchiwał się w noc. Uschłe liście szurały pod jego stopami, te spod spodu, których nie zdążył jeszcze zmoczyć deszcz. Powietrze pachniało wilgocią i butwiejącymi gałęźmi ułamanymi przez letnie wichury; brzmiało nocą, noc brzmiała powietrzem, a on szedł i słyszał wszystko, absolutnie wszystko. Na drugim brzegu rzeki szumiały szturchane przez wiatr gołe gałęzie, gdzieniegdzie zasłaniając światło latarń. Słyszał szum wody, trzask gałęzi pękających pod jego stopami, plusk deszczu spływającego po kapturze żeglarskiej kurtki. Przeszedł pod mostem kolejowym i na chwilę wszystkie dźwięki ustąpiły miejsca głuchemu odgłosowi grubych podeszw jego butów, uderzających o wyschniętą glinę; nad jego głową przejechał pociąg, wydając przy tym metaliczne dźwięki toczonych po szynach kół. Tarcie metalu o metal. Drewnianych kolejowych podkładów o szyny, pisk zmęczonych nieustannym trzymaniem torów śrub, znów dudnienie butów.

Wszedł na chodnik i buty nie wydawały już takiego odgłosu. Zaczęły szumieć samochody, kauczuk opon terkotał po mokrym asfalcie, brzmiały silniki i spaliny wypadające z rur wydechowych. Wszystko brzmiało a on wszystkie dźwięki słyszał, każdy osobno i wszystkie razem, ale nie zlewały się ze sobą i nie brzmiały bezładnie. Każdy ton miał swoje miejsce w tym utworze, który właśnie odgrywał się w głowie i uszach Troda.

Doszedł na dworzec i kupił bilet. Kasjerka melodyjnym głosem, jakim zwykle nie dysponują kasjerki na kolejowych dworcach, prawie wyśpiewała kwotę należną za przejazd i podbiła pieczątką z wytłoczonym napisem „wyjazd dn. 13.11, godz. 0.00 - 6.00„ w wyznaczonym miejscu.

Pociąg stukał leniwie po szynach. Trod siedział w przedziale i patrzył przez okno, za którym nie było nic oprócz pustki w z grubsza tylko poukładanej formie. Była trzecia w nocy, pięć po trzeciej. W przedziale jechali podróżni, niektórzy spali, inni czytali wymięte gazety, jeszcze inni patrzyli pustym wzrokiem w imitującą sosnowe drewno sklejkę nad siedzeniami. Wszystko, żeby tylko nie spojrzeć za okno.

Wszystko, czego potrzebował, miał ze sobą. Pociąg pędził w jakąś śmieszną nicość, cudem tylko zatrzymując się na wybranych stacjach. Konduktor nie sprawdzał biletów, siedział w przedziale dla obsługi i palił papierosy, jednego za drugim i też nie patrzył za okno. W warsie siedziała grupka młodych mężczyzn. Rozmawiali, od czasu do czasu wybuchając gromkim śmiechem. Pod stołem nalewali do plastikowych kubków z herbatą mętnego płynu, równie chyba mętnego pochodzenia z litrowej butelki po coli. Trod patrzył na rozbijające się o szybę krople deszczu.

Ten listopadowy pachnie jakoś szczególnie, niesiony jesiennym wiatrem. Lubił stać na takim deszczu; zamykał wtedy oczy, a krople uderzały o jego pomarszczoną twarz. Nic w takim deszczu nie ma ze świeżości, musi być bardzo stary, brzmi cicho, jakby się kończył. Wszystko obmywa z win jak święcona woda, spłukuje każdy brud i pachnie przemijaniem. Dźwięk przemijania jest w takim deszczu; brzmi cicho i spokojnie, przemija, ale nigdy nie przeminie, musi trwać i to jest zupełny absurd. Jeśli gdzieś jest taki dźwięk, to tylko w tym listopadowym deszczu i wietrze.

„Zupełnie, jakby jechali gdzie indziej“ - myślał, patrząc na współpasażerów - „Jakby nie chcieli dostrzec tego wszystkiego za oknami. A przecież coś tam musi być. Nie zauważyli, że oto właśnie przyszedł listopad i cała ich nadzieja schowała się gdzieś głęboko pod ziemię. I po co komu taka nadzieja.“

Zasnął głębokim snem i nie śniło mu się nic.

Obudził się przed szóstą i dalej było całkiem ciemno. Zapalił papierosa i rozmyślał. Znał dobrze każdy ze swoich dźwięków, każdy znał z imienia. Pamiętał o nich i pozwalał im żyć własnym życiem, choć mógłby zdegradować je tylko do określonej częstotliwości herców, nazwać i określić, jednak zbyt bał się, że później ich już nie odnajdzie. Wszystko nabierało nowego znaczenia, kiedy było określone dźwiękiem. A on grał z miłości. Każdy gra z miłości, do kobiety, przyjaciela, rodziny, kogokolwiek. A gdy nie ma się dla kogo grać, to

gra się na ulicy, bo to też jest jakaś miłość, do tych głuchych murów, od których później oczekuje się wdzięczności za wszystkie lata umilania im życia i to jest chyba najsmutniejsze.

Potem grał z Julią. „Zupełnie, jakbym całe życie mówił w innym języku i nagle zjawia się ktoś, kto zna ten sam język, kiedy się już myśli, że jest się jedynym, który się nim posługuje„ - pomyślał wtedy, kiedy pierwszy raz zagrali razem i cieszył się tymi rozmowami. One też się nimi cieszyła, choć sama z siebie cieszyła się notorycznie, bez najmniejszej przerwy.

„Ale nie powinna być ze mną, powinna zdać egzamin i koncertować w największych i najlepszych salach na świecie, a ja powinienem oglądać ją w telewizji, a nie obok siebie na ulicy. Specjalnie kupię sobie telewizor i będę co wieczór oglądał i będę cieszył się, kiedy ją pokażą. Ja jestem już za stary, ale przed nią jeszcze wszystko."

I znów zasnął.

***

Piec dogasał i robiło się zimno. Julia otworzyła oczy i patrzyła pustym wzrokiem w ścianę. Było zupełnie cicho, wiatr ustał i deszcz przestał padać. Za cicho nawet jak na listopadowy świt w tak odludnym o tej porze roku miejscu. Wiedziała, że wyszedł, nie próbowała nawet się odezwać, żeby go zawołać. Zamknęła oczy jeszcze na chwilę, ale było jej zimno i nie mogła dłużej spać. Usiadła na wersalce, walcząc z sennością.

- Ciekawe, dokąd wyszedł. Pewnie gdzieś pojechał, pewnie daleko. Stary głupiec – powiedziała do siebie, po czym roześmiała się swoim zwyczajem. Śmiech zniknął w ciszy pustej izdebki. Włożyła buty i ubrała kurtkę, z trudem wychodząc spod nagrzanego ciałem koca. Wstała powoli i wyszła na dwór, w poszukiwaniu czegoś na opał. Pod ławką leżały pocięte przez Troda gałęzie, więc wzięła je i włożyła do pieca, na resztki żaru i otworzyła drzwiczki, żeby wpuścić do niego powietrze.

Ogień rozpalał się powoli, gałęzie były mokre po wczorajszym deszczu. Kiedy w końcu wyschły i zapaliły się, nastawiła wodę w garnuszku i wyciągnęła z szafki puszkę z resztką kawy. Nie było jego kubka, futerału, swetra. Na stole leżał biały kawałek kartki z napisanym listem. Nie przeczytała go, złożyła kartkę wpół literami do środka i schowała do kieszeni. Wyciągnęła skrzypce i chciała zagrać, ale palce drętwiały jej z zimna, więc zrezygnowała.

- Jak nie, to nie. Zagrzeję się trochę i pogram na dworcu, dziś zapowiada się ciepły dzień - powiedziała ni to do siebie, ni to w pustkę altanki i spróbowała znów się roześmiać. Śmiech grzązł w przestrzeni gdzieś między nią a drzwiami.

Woda w końcu zawrzała i Julia zalała kawę. Usiadła na fotelu i przykryła nogi kocem. Palce u stóp szczypały ją z zimna. Gorąca kawa parzyła w język, ale ciepło rozchodziło się po całym jej ziele, więc piła jak najszybciej. Gałęzie się dopalały, spakowała skrzypce do futerału, umyła swój kubek w miednicy, wsadziła go do szafki i wyszła, nie zamykając za sobą drzwi.

- Zupełnie mu dobiło, temu mojemu staruszkowi - mruczała pod nosem, szurając stopami po wilgotnych liściach - Zupełnie! Szkoda, tak dobrze nam się rozmawiało. Chyba nikt mnie tak dobrze nie rozumiał, jak on, ale już sobie poszedł i pewnie nie wróci. I pewnie myśli, że pójdę do profesora - westchnęła - a ja chciałam, żeby mnie uczył.

Było jej smutno, że odszedł. Teraz będzie musiała grać sama, ale może to i dobrze, nie można przecież całe życie grać na ulicy.

- Trzeba iść do przodu, pewnie by mi to powiedział, gdyby został. Ale nie powiedział tylko wyjechał, mało mówił, i nigdy wprost. Stary jest i dumny, duma nie może pozwolić sobie na dosłowność. - starała się pocieszyć sama siebie.

Szła pomiędzy drzewami. Uschłe liście szurały jej pod stopami. Powietrze pachniało wczorajszą wilgocią i butwiejącymi gałęźmi. Na drugim brzegu rzeki szumiały szturchane przez wiatr gołe gałęzie. Słyszała je wszystkie. Przeszła pod kolejowym mostem i doszła do dworca. Przed wejściem cygańska kapela grała tę samą smutną melodię, tę samą od lat, odkąd ktokolwiek pamiętał. Niewyraźna melodia błąkała się po klawiszach akordeonu, po strunach gitary, zaczynała się i kończyła, ale mogła by równie dobrze w ogóle nie istnieć, tak bardzo wgryzła się w umysły tych, którzy musieli przebywać zbyt blisko. I Julia nie chciała jej słuchać.

„Grają, jakby bali się nawet zbliżyć do dźwięku" - myślała, patrząc na ręce akordeonisty -"Gdyby staruszek tu był, powiedziałby im. Albo nie powiedział, on przecież rozmawiał tylko ze mną."

Siadła na ławce i przysłuchiwała się grającym. A im dłużej tak siedziała, tym bardziej melodia robiła się niewyraźna i w końcu zaczęła całkiem znikać. Najpierw cichła, urywała się na moment, potem na chwilę wracała, żeby zaraz znowu cichnąć coraz bardziej i bardziej. I nagle Julii zrobiło się bardzo smutno.

***

„Pociąg teelka z Krakowa do Wrocławia wjechał na tor przy peronie drugim. Prosimy zachować ostrożność i nie zbliżać się do krawędzi peronu... Życzymy państwu przyjemnej podróży" - takie powitanie rozległo się z głośników, kiedy Trod wysiadał z pociągu. Nigdy go tu nie było, ale wysiadł, bo gdzieś musiał w końcu wysiąść. Nazwa miejscowości, w której się znajdował nie ma najmniejszego znaczenia.

- Tak, panie Trod. Dojechałeś gdzieś, i nie wiesz, co cię tu czeka – powiedział do siebie, zarzucając na ramiona plecak – Swoją drogą, mógłbyś przypomnieć sobie, jak naprawdę masz na imię, tak głupiego sobie drugi raz nie wymyślaj. Nikt cię tu nie zna.

Ale nowego imienia wcale sobie nie wymyślił, nie miał zresztą zamiaru komukolwiek się przedstawiać. Ruszył w stronę holu dworca, rozglądając się i przysłuchując nowemu miejscu. Na dole było podziemne przejście, kilku żebraków i strażnicy w jaskrawo żółtych kamizelkach, kasy biletowe takie same jak wszędzie, jakieś sklepiki, teraz pozamykane ze względu na wczesną porę i automaty z kawą. Dworzec jak dziesiątki i setki innych, wszędzie jest tak samo. Tacy sami jak wszędzie ludzie o takich samych jak wszystkie smutnych oczach, stoją i czekają na coś, co nigdy się nie wydarzy. Albo jadą pociągami w różne strony, niektórzy eleganccy, z teczkami, w garniturach, w obrzydliwie idealnych i błyszczących butach, inni ubrani w grube swetry i kurtki, z wzrokiem wbitym w zimną powierzchnię chodnika.

W automacie kupił kawę, usiadł na ławce w holu i wypił. Potrzebne mu były siły, więc zjadł ćwierć bochenka chleba; niewiele trzeba mu już było, żeby się posilić. Powietrze rozbrzmiewało stukotem kół pociągów po szynach i uderzaniem skrzydeł wróbli, które podskakiwały i podfruwały raz po raz w górę. Kilka skakało przy jego nogach, w oczekiwaniu na rzucony okruch chleba. Rzucał im i patrzył, jak jedzą.

„Biedne ptaki. Dlaczego zostają tu na zimę, a nie odlatuję, jak inne, do ciepłych krajów? „ - spytał sam siebie, ale zaraz przestał się nad tym zastanawiać, bo za bardzo wydały mu się do niego samego podobne.

Wyszedł przez hol przed wejście i zapalił jednego papierosa; zgasił w połowie, pozostałą połówkę zawinął w kawałek wymiętego białego papieru, wydobytego z wewnętrznej kieszeni kurtki i wsadził z powrotem do miękkiej paczki. Na dworze pachniało

mocno i wyraziście, choć nie było jeszcze mrozu. Kiedy jest zimno, zapachy są mocniejsze, dźwięki bardziej wyraźne. Cyfrowy wyświetlacz nad drzwiami dworca wskazywał godzinę siódmą piętnaście i trzy stopnie powyżej zera. Ludzi było mało, nawet jak na sobotni listopadowy poranek. „W sobotni poranek wszystko brzmi jakoś inaczej" - pomyślał - „Zabawne, że wcześniej tego nie zauważyłem." Od czasu do czasu na dworcu pojawiali się ludzie, przechodzili przez wejście do środka, pewnie stali bywalcy albo tacy jak on. Większość wyglądała tak samo, brudne twarze, zmarznięci, mężczyźni z tygodniowym zarostem, ubrani w brudnoszare kurtki, które kiedyś pewnie były białe, albo beżowe, albo jakiekolwiek. Każdy krok w holu rozbrzmiewał głośnym echem, które odbijało się od wyłożonych żółtymi płytkami ścian.

Stanął w holu, wyciągnął skrzypce z futerału i nastroił. Zaczął grać, skostniałymi z zimna palcami przyciskając ostre struny. Palce bolały go od tego, ale nie przestawał, czekał tylko na moment, aż przestanie być mu zimno i popłynie razem z dźwiękiem strun. Z peronów zaczęli wychodzić pierwsi pasażerowie, wysiadający przed chwilą z pociągów; kilku wrzuciło mu do futerału monety, ale nikt nie zatrzymał się na chwilę, żeby posłuchać. Wszyscy spieszyli się gdzieś, do domów albo pracy, wszystko jedno, byle tylko nie stać na dworcu i nie marznąć.

Zamknął oczy i wstrzymał na chwilę oddech. Zamarł, i przycisnąwszy serdecznym palcem strunę do gryfu, tak że ten prawie zaczął krwawić i bolał niemiłosiernie, drugą rękę uniósł lekko w górę, zgiął i przygotował do gry; delikatnie musnął strunę, żeby sprawdzić, czy jest w tej tonacji, w której zamierzał. Teraz uniósł się trochę na palcach jak przywiązany do kamienia balon wypełniony helem i zaczął od bardzo długiego dźwięku, od *a,* wibrując palcem po gryfie. Palec już zaczynał krwawić, ale nie czuł bólu; stawał się dźwiękiem, brzmiał i wybrzmiewał razem z nim.

Tak mijały minuty, a jego nie było; ale słyszał wszystko, każdy najdrobniejszy szmer, wydobywający się spod buta przechodniów, każde trzepotanie skrzydła wróbli i gołębi; pstrykanie zapalniczek podróżnych odpalających papierosy przed głównym wejściem było bardzo wyraźne i brzmiało zupełnie sucho. Taki dźwięk, bez żadnego ciepła w środku wydawały też pieczątki w kasach, którymi kasjerki przybijały informacje o wyjeździe na papierowych biletach. Metaliczny, wysoki ton monet, obijających się o siebie przy bezładnym wpadaniu do futerału dopełniał niską barwę jego skrzypiec; wszystko grało i ze

sobą i istniało razem. Jedna wielka symfonia dźwięków, wszystkich dźwięków tego dworca, wypełniała jego głowę, uszy i ciało.

Ale nikt, oprócz niego nie słyszał ich razem; dla innych każdy dźwięk był osobny i osobno nic nie znaczył, kasjerki z pustym wzrokiem przybijały pieczątki na zwracanych biletach i odgłos był taki, jaki był, ani pusty, ani pełny, był tylko dźwiękiem, na który nikt nie zwracał najmniejszej uwagi. Nikt, prócz Troda. I wcale nie było to dla niego błogosławieństwem.

Julia siedział na ławce przed dworcem i jadła bułkę. Po ulicy skakały wróble, podskakując nerwowo w oczekiwaniu na rzucony okruszek; rzucała im i patrzyła, jak jedzą, ale wcale jej to nie cieszyło. Było jej zimno i przyglądała się przechodniom; wszyscy się spieszyli, wbijając wzrok w chodnik.

- Trzeba by wrócić do domu – powiedziała do siebie, ale wcale się nie ruszyła, żeby wstać. Kiedy w końcu zdecydowała, że jednak wstanie i usiłowała podnieść ociężałe od listopadowej nostalgii ciało, poczuła na ramieniu rękę. Odwróciła się i zobaczyła wysokiego mężczyznę, w wieku około czterdziestu lat; był ubrany w czarny, elegancki płaszcz, czarne włosy miał krótko przystrzyżone i pachniał przesadnie słodkim perfum. Pochylał się nad nią, wyszczerzając w koślawym uśmiechu szereg pożółkłych od nikotyny zębów.

- Czego pan chce? - spytała niegrzecznie, bo wcale nie miała ochoty na towarzystwo.

Nieznajomy nie odezwał się od razu. Przenikliwym wzrokiem spojrzał na nią, zlustrował od stóp do głów, cały czas szczerząc w jej kierunku zęby. Po chwili jednak spojrzał na futerał i odparł:

- Niczego, młoda damo. Zastanawiałem się po prostu, czy nic ci się nie stało. W ogóle się nie ruszałaś.

Jego głos brzmiał melodyjnie i coś Julii przypominał, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć, co takiego. Kiedyś na pewno słyszała już podobny głos, był niski i świszczący, ale nie nieprzyjemny; zupełnie, jakby nieznajomy nie mówił, a wydychał z siebie dźwięk jak powietrze. Usiadł koło niej, prostując płaszcz i wyciągnął ze srebrnej papierośnicy długiego, cienkiego papierosa.

- Dziękuję, nie palę – uprzedziła pytanie, widząc wysuwającą się w jej stronę dłoń z metalowym przedmiotem.

- Piękny dzień, nie sądzisz? - zapytał, zaciągając się dymem.

Zastanawiające jest, że ludzie, gdy dosiadają się do kogoś zupełnie obcego na ulicy, zawsze rzucają jakby od niechcenia zdanie o pięknym, bądź też brzydkim dniu albo o pogodzie. Tak zwykle robią ludzie, ale ten nie wyglądał wcale na kogoś, kto postępuje jak wszyscy. Poza tym, ostatnim określeniem, jakiego można by użyć w odniesieniu do owego dnia, było „piękny".

- Chyba będzie wychodzić słońce – przytomnie zauważyła Julia.

- I będzie mróz. - odparł – możliwe, że siarczysty. Już teraz mamy zero stopni – spojrzał, patrząc ni z tego, ni z owego na zegarek. Patrzył na wróble, skaczące pod ławką.

- Biedne ptaszyska – mówił dalej – zastanawiałaś się kiedyś, młoda damo, dlaczego wróble nie odlatują na zimę do ciepłych krajów, jak większe ptaki?

- Nie – odparła Julia, zgodnie zresztą z prawdą.

- Pewnie dlatego, że ktoś je tu karmi – wyszczerzył zęby – albo dlatego, że są za słabe, żeby lecieć. Zresztą nie wiem, nie mnie to oceniać.

Nieznajomy wydobył ze skórzanego nesesera kanapkę i odwinął ją z aluminiowej folii. Wykonał taki sam ruch ręką jak z papierośnicą, ale widząc odmowę na twarzy Julii, wyrzucił do kosza zwinięte sreberko i zaczął rzucać kawałki kanapki ptakom.

- Jak ci na imię? - spytał.

- Julia.

- Ładnie – stwierdził i zajął się konsumpcją. Rozmowa się urwała, według wszelkich zasad *savoir vivre* nieznajomy powinien teraz się przedstawić, ale nie uczynił tego. Wyciągnął natomiast papierośnicę i obracał ją w palcach, drugą ręką trzymając kanapkę. Kiedy skończył jeść, resztki chleba rzucił wróblom, a te zaczęły podfruwać i szarpać się o najlepsze kawałki. Wyciągnął znów papierosa i zapalił.

- Ja cię znam. - powiedział, przerywając niezręczną ciszę, która jemu była chyba obojętna. - Czemu siedzisz tu tak sama?

- Słucham. Siedzę i słucham. - odparła.

- Ach tak. Rozumiem.

- Wcale nie wygląda pan na takiego, co rozumie.

- A ty wcale nie wyglądasz na taką, co słucha. - uśmiechnął się – i co słyszysz?

- Różne rzeczy. O, samochody trąbią. Pociągi stukają. Pan nie słyszy? - spytała.

- I to jeszcze jak... Często grasz na dworcu, prawda?

- Jak jest wolne.

- Ach tak. Też nie lubię, jak ci grają. Ale ty grasz ładnie. Podoba mi się. Uczysz się gdzieś?

- Chcę zdawać na akademię muzyczną – powiedziała.

Rozmowa znów się urwała, bo nieznajomy nie kontynuował zaczętego wątku. Spoglądał w niebo i zaczął gwizdać. Gwizdał takim samym suchym, ale ciepłym brzmieniem, jak mówił. Julia słyszała gdzieś już takie gwizdanie, ale za nic ni mogła sobie przypomnieć, gdzie.

- A ten starszy, co grał z tobą, to gdzie? - zapytał, przerywając na chwilę gwizdanie.

- Wyjechał.

- Daleko?

- Nie wiem. Możliwe, że daleko. - zaczynało ją męczyć towarzystwo nieznajomego, zwłaszcza, że znów zaczął gwizdać. Zadawał pytanie, a potem, nie czekając na odpowiedź, zajmował się swoimi sprawami, gwizdał, rozmyślał i palił papierosy; zaraz potem znów wracał do rozmowy i kontynuował, jak gdyby nigdy nic.

„Pewnie wariat. Pełno tu takich" - pomyślała.

- Staruszek Trod wyjechał. No no. - powiedział ni to do siebie, ni to do niej, i zaciągnął się papierosem.

- Znał pan go? - spytała, udając zaciekawienie.

- Poniekąd. - odparł – w sumie, kiedyś, dawno, mógłbym powiedzieć, że znałem. Ale się postarzał, zamknął w sobie. Ten dworzec tak na niego działał, mówiłem mu, że to się źle skończy. Mamy ze sobą tyle wspólnego, że graliśmy oboje ze staruszkiem, a to już dużo, nie sądzisz, Julio?

- Nie wydaje mi się, żeby było to dużo – odparła.

- Lepiej, żebyśmy więcej nie mieli, jeśli wiesz, co mam na myśli – wyszczerzył pożółkłe zęby.

Wcale nie wiedziała, co miał na myśli, i wcale ją to teraz nie interesowało. Przybrała jego taktykę, zajmując się teraz swoimi sprawami i słuchając, jak brzmi miasto. Stukot pociągowych kół po szynach był bardzo wyraźny i głośny.

Nagle nieznajomy poniósł się z ławki i powiedział:

- Do widzenia, młoda damo. Nie pozostaje mi nic innego, niż życzyć ci powodzenia na egzaminach. I pozdrów ode mnie staruszka Troda, kiedy już się spotkacie.

Julia skinęła tylko głową.

- A, i jeszcze jedno. Lepiej nie siedź tu sama i nie słuchaj, jak ty to mówisz. Lepiej idź do domu i włącz radio, albo zrób ze sobą coś. Dobra rada. - znów wyszczerzył do niej zęby.

I odszedł, zostawiając Julię samą na ławce. Patrzyła, jak się oddalał i nie mogła wydusić z siebie słowa. Nieznajomy nie odwrócił się, szedł rytmicznym, spokojnym krokiem w stronę dworca.

„Dziwny człowiek. Wydaje mi się, że skądś go znam" - pomyślała Julia i wróciła do karmienia gołębi.

***

Trod skończył grać i wyciągnął z futerału monety. Przetarł i schował skrzypce. Na dworze cyfrowy wyświetlacz wskazywał temperaturę minus dwóch stopni celsjusza i godzinę dziewiątą siedemnaście. Wyszedł przed dworzec i zapalił papierosa. Wciągnął nosem powietrze i naraz zrobiło się zupełnie cicho, ale tylko na chwilę; znał tę ciszę, przychodziła niespodziewanie, ale na krótko. Kiedy nic nie słychać, człowiek odczuwa ulgę.

***

Od spotkania z nieznajomym minęła godzina i Julia prawie o nim zapomniała; wrócił jej zwykły, dobry humor, bo nigdy nie przejmowała się zbyt wieloma rzeczami. Postanowiła pójść do domu, w tym celu wstała z ławki i ruszyła ulicą w stronę rynku. Wyszło słońce i zaczynało robić się mroźno, oddychając czuło się już charakterystyczne sklejenie wewnątrz nosa. Pierwszy w roku mróz zawsze jest wyjątkowy, zawsze pachnie inaczej. Mroźne powietrze całe ludzkie wnętrze, a może jest odwrotnie, może to człowiek wypełnia mróz jak woda akwarium. Później już się tego nie czuje, później się do tego przyzwyczaja.

Usłyszała szczekanie psa; ale szczekanie nie było takim sobie ot, szczekaniem, jakie słyszała zawsze. Zaraz pies zaczął wyć i odpowiedziało mu z drugiej strony ulicy wycie innego. Interwał był nie mniej, nie więcej, tylko kwintą czystą. Uśmiechnęła się do własnych myśli. „Dlaczego psy nie wiedzą, że wyją interwałem doskonałym?" - pomyślała - „Zresztą, może wiedzą. Kto wie, psy podobno słyszą lepiej od ludzi."

Zaraz psy zamilkły i nagle zrobiło się zupełnie cicho; tak cicho, jak nigdy nie bywa w centrum miasta o godzinie dziesiątej rano. Zasłuchała się w tę ciszę i nagle przypomniała

sobie głos nieznajomego i poczuła dziwny ucisk w żołądku. Wtedy z bruku ulicy zerwało się do lotu stado gołębi. Zaczęła rozumieć wszystko, wszystkie dźwięki docierały do niej głośniej, niż zwykle; słyszała każdy i każdy ją olśniewał i fascynował. Każdy szelest piórka każdego z osobna ptaka słyszała dokładnie, każdy dźwięk był osobny i nie zlewał się w całość z innymi odgłosami miasta. Wszystkie razem brzmiały jak uderzenia pałeczek w werbel, jedno wielkie ptasie *tremolo* wypełniło jeszcze przed chwilą puste i ciche miasto. Zaraz zaczęły docierać do niej dźwięki samochodów, trąbiących na skrzyżowaniach o milionach możliwości, z których każda była zła i dobra zarazem; z kościelnej wieży dzwon zabrzmiał melodyjnie dziesięć razy, dziesięć pełnych uderzeń mosiądzu o mosiądz, przy drugim ptasie *tremolo* odbiło się od muru kamiennicy naprzeciwko. Zatrzymała się i stała, zupełnie zafascynowana. Ale to była tylko uwertura, właściwy utwór dopiero się rozpoczynał. Potrafiła nazwać dźwięki, rozpoznać i określić każdą odległość między nimi; nagle wszystko wydało jej się jasne. Myślała pełnymi frazami, widziała każdy następny dźwięk, zanim ten zdążył zabrzmieć.

Melodia toczyła się teraz w rytmie stukającego po szynach pociągu; choć tory były kilka kilometrów dalej, słyszała go dokładnie. Akcenty nadawały trzaśnięcia sklepowych drzwi, którymi wchodzili i wychodzili przechodnie; dzwoniące w ich kieszeniach telefony wypełniały miejsce, pozostałe między dźwiękami. Trzepotały reklamowe flagi, dzwoniły dzwonki mikrofalówek w tanich barach, wszystko brzmiało, i nie brzmiało bezładnie; każdy dźwięk był dokładnie na swoim miejscu. Wsłuchiwała się w nie wszystkie, stojąc tak z zamkniętymi oczyma. Już nie czuła chłodu.

Robiło się coraz zimniej; mróz zaczął ścinać powietrze i szczypać delikatnie policzki i palce. Słońce przebijało się przez resztki chmur, padając na twarze przechodniów i rysując cienie pod ich nosami i podbródkami. Miasto topiło się w porannym słońcu. W wąskich brukowanych uliczkach, przed stacjami benzynowymi z wolna zaczęli pojawiać się ludzie. Pijani mężczyźni wracali z wojska; śpiewali, ich śpiew ginął w mroźnym powietrzu, ale wcale nie przejęci darli się wniebogłosy, ciesząc się z powrotów do domów, do swoich dziewczyn i narzeczonych. Chcą zapomnieć o tym, co było, zapomnieć tak jak zapomina się o kupieniu cukru albo o wyłączeniu żelazka. Chcą zapomnieć, tak jak zapomina się o tysiącu rzeczy, które znajdują się na długiej liście tego, co trzeba zrobić przed południem. Tu każdy ma do opowiedzenia jakąś historię, której nikt inny nie zauważa. Najrozsądniejsi siedzą cicho.

Julia dwie godziny stała na rynku i słuchała, oczarowana brzmieniem miasta, którego nigdy wcześniej nie słyszała. Ale teraz była już zmęczona i chciała odpocząć. Znów zrobiło jej się zimno, więc zaczęła iść w stronę przystanku. Do wszystkich dźwięków dołączyły jej własne kroki, rytmiczne odgłosy stukających po betonowych płytach zimowych butów. Weszła do autobusu i usiadła na tylnym siedzeniu. Patrzyła w okno i wydało się jej, że za tym oknem nie ma absolutnie nic. Widziała mijające samochody, światła, ludzi na przejściach dla pieszych; wszystko to wydało jej się teraz bez znaczenia, zupełnie niepotrzebne. Nagle poczuła, że chce znów słyszeć tak samo jak wcześniej, zanim wsiadła do autobusu, choć jeszcze przed chwilą miała dość tych dźwięków; czasem tak się zdarza, że wszystko przestaje mieć znaczenie i człowiek pragnie wrócić choć na chwilę do czegoś, co jeszcze przed chwilą wydawało się być katuszami. I tak właśnie zdarzyło się Julii; na następnym przystanku oderwała wzrok od okna i wybiegła z autobusu, szturchając przy okazji futerałem siedzącego naprzeciwko drzwi mężczyznę w eleganckim, czarnym płaszczu.

- Przepraszam – rzuciła, nie patrząc nawet w jego stronę.

- Nic nie szkodzi, młoda damo – odparł tamten. Jego głos był niski i świszczący, zupełnie jakby nie mówił, a wydychał z siebie dźwięki jak powietrze.

Biegła w stronę rynku, nie zatrzymując się po drodze; dotarła do tego samego miejsca, w którym stała wcześniej i zamknęła oczy, dysząc ze zmęczenia. Odgłos świszczącego w płucach powietrza był zupełnie inny, niż kiedykolwiek wcześniej. Słyszała go bardzo dobrze i zaraz zaczęły wracać wszystkie dźwięki, czternaście razy uderzył dzwon, pociąg znów stukał po szynach, wszystko brzmiało i brzmiało tak cudownie inaczej.

„Muszę przestać je nazywać” - myślała - „Zupełnie bez sensu jest nazywać dźwięki. Ile lepiej by dla mnie brzmiały, gdybym nie wiedziała, że mikrofalówka w budce po mojej lewej stronie wydaje ton dokładnie o sekundę wielką niższy niż ta po prawej. I co za różnica, że gwizdek maszynisty to trzykreślne *a*, mogłoby przecież nazywać się zupełnie inaczej, a brzmiało by tak samo. Po co je porządkować, to takie dziwne. Ludzie porządkują sobie wszystko, nazywają jeden dźwięk tak, a drugi inaczej; a gdyby to *a* trzykreślne nazwać dwukreślnym, to czy brzmiałoby faktycznie o oktawę niżej? I dlaczego o oktawę...”

Ale nie mogła przestać ich nazywać. Przypomniała sobie natomiast Troda, i to, że nigdy nie mówił „zagraj to kwintę wyżej”, albo „zacznij od a trzykreślnego, *madame*”.

- Pewnie też kiedyś słyszał, jak brzmi miasto – powiedziała do siebie – albo słyszy wciąż i dlatego wyjechał...

I wystraszyła się, ale tylko na chwilę; zbyt była zajęta słuchaniem, żeby przejmować się czymkolwiek.

Robiło się coraz zimniej. Słońce przesuwało się leniwie po niebie, malując coraz dłuższe cienie. Wciągnęła powietrze i złożyła ręce przy ustach, wdmuchując w zmarznięty naskórek ciepło ciała.

Usiadła na tej samej ławce, na której spotkała mężczyznę w krawacie.

Słuchała.

***

Zimno uderzyło Troda w twarz. Szedł deptakiem w stronę rynku. Gołe gałęzie drzew, sadzonych nierozsądnie przy chodniku, rzucały cienkie smugi cienia na bruk. Było mu zimno w stopy, zmarznięte podeszwy bolały coraz bardziej i bardziej; zaciskał palce u nóg. Doszedł do budki i zamówił kawę. Zmarznięte palce wystawały z rękawiczek, obciętych nierówno nożyczkami, sparzyły się przy dotknięciu gorącego, styropianowego kubka. Był siarczysty mróz, minus dziewięć stopni.

Ogarnął wzrokiem miasto bez horyzontu, opustoszałe chodniki i sklepy. Kobieta w budce uśmiechała się do niego. Podniósł lewy kącik ust, jakby odwzajemniając uśmiech.

Zabrzmiał mosiężny dzwon na kościelnej wieży. Zabrzmiał sześć razy i ucichł, zmęczony obowiązkowym wybrzmiewaniem co godzinę. Zapadał zmierzch.

***

Ciszy nie było, choć Julia nie marzyła teraz niczym innym. Znów było jej zimno.
„Trzeba było iść do domu”- pomyślała - „Trzeba było iść do domu i włączyć telewizor. Teraz już nic nie jest takie jakie było...”

Chciała ciszy. Nie słyszeć, nie wiedzieć. Mróz szczypał ją w twarz. Chciała wstać, ale nie mogła; każdy dźwięk przytłaczał ją, wbijał się w jej głowę. Najprzyjemniejszy, najpiękniejszy z dźwięków w końcu zaczyna boleć. Bolały ją uszy, płuca i zmarznięty nos. Wstała w końcu i wracała do altanki, z której wyszła rano, bez zamiaru powrotu. „Prześpię się do jutra, odpocznę. Muszę odpocząć, wszystko mi się pomieszało” - myślała, szurając uschłymi liśćmi, które pękały pod jej stopami, zupełnie twarde i zmarznięte po wczorajszym

deszczu. Przechodziła pod mostem kolejowym, z wolna cichły odgłosy samochodów, zmarznięta z wierzchu ziemia brzmiała głucho i coraz ciszej. Mroźne powietrze pachniało wyraźnie i kłuło w płuca, tak, że owinęła twarz wełnianym szalikiem i starał się nie oddychać nosem. Było jej zimno, palce szczypały z bólu; zaciskała je najmocniej jak tylko mogła, ale ręce miała słabe z głodu, cały dzień nie jadła nic. Teraz też nie była głodna, chciała tylko ciszy, ogłuchnąć choćby na chwilę. Powietrze brzmiało butwiejącymi pod warstwą zamarzniętych liści kawałków drewna; pękając wydawały dźwięk podobny do łamania kości i przyprawiały o dreszcz na karku. Szła i robiło się coraz zimniej i ciszej; siarczysty mróz pochłaniał wszystkie dźwięki.

Kiedy doszła do altanki, było zupełnie cicho. Najdelikatniej, jak tylko umiała, otworzyła drzwi; nie były zamknięte na klucz, bo rano zostawiła je otwarte. Weszła do środka i spróbowała rozpalić w piecu. Pod stołem stała plastikowa butelka z parafiną i leżały stare gazety. Przed wejściem znalazła pocięte przez Troda gałęzie i wrzuciła je do pieca. Podłożyła gazetami i odpaliła, ale papier zaraz się wypalił. Polała gałęzie parafiną i odpaliła zapałką wyciągniętą z tylnej kieszeni spodni białą kartkę. Parafina szybko zaczęła płonąć i Julia położyła się na wersalce, otulając szczelnie kocem. Była zmęczona i zaraz zasnęła.

Ogień przestał się palić, parafina szybko zgasła i mokre gałęzie nie zdążyły się zająć. Było jej ciepło i palce przestawały szczypać.

***

Trod siedział na ławce przed dworcem. Była trzecia w nocy, pięć po trzeciej. Walczył ze sobą, żeby nie zasnąć, ale nie mógł już dłużej powstrzymywać senności, kawa przestawała działać. Wsunął rękę do kieszeni kurtki i zacisnął dłoń na białym, ciężkim pakunku. Było mu coraz cieplej i coraz bardziej błogo. Przed sobą miał upragnioną ciszę.